

W okowach atlantyizmu



Nie da się zrozumieć procesu degradacji polskiej polityki wschodniej, a szerzej, likwidacji samodzielnej aktywności międzynarodowej na wielu azymutach, bez wnikliwego spojrzenia na skutki strategicznego związania się z tzw. kolektywnym Zachodem.

Mimo powszechnej frazeologii o odzyskaniu wolności i korzystaniu z pełnej suwerenności, Polska ostatnich trzech dekad staczała się stopniowo, acz konsekwentnie w pełną zależność od struktur atlantyckich. W nich natomiast prymat sprawują Stany Zjednoczone, których strategia bezpieczeństwa determinuje posłuch i lojalność tych wszystkich, którzy korzystają z ich „parasola ochronnego”.

Dla państw pokomunistycznych, wstępujących do NATO i do Unii Europejskiej, Zachód stanowił ogromną siłę przyciągania, ze względu na alternatywny model rozwoju i nieugiętość w konfrontacji zimnowojennej. Paradoks polegał na tym, że to, co dało szansę państwom Europy Środkowej i Wschodniej na dołączenie do antykomunistycznego Zachodu, wkrótce straciło rację bytu. Antykomunizm przestał być ideologią definiującą Zachód. Nastąpił powrót do rywalizacji mocarstw, a liczne kryzysy gospodarcze i polityczne podważyły wiarygodność amerykańskiego przywództwa.

Polscy politycy o rodowodzie posolidarnościowym i pokomunistycznym wpisali się doskonale w „orkiestrę” polityków zachodnich, którzy za cenę utrzymania dotychczasowego status quo (komfortu bogactwa i bezpieczeństwa), gremialnie

podporządkowali się amerykańskim interesom. Uczynili to nie tylko z powodu zwyczajnego wygodnictwa, ale i swoistej inercji, będącej funkcją braku wewnątrzsterowności. Okazało się, że szeroko pojęta strategia bandwagoning (koncentracji sił pod przywództwem Ameryki) nie przynosi pożądanych korzyści. Przede wszystkim spoistość i solidarność w systemie zachodnim została wystawiona na próbę za prezydentury **Donalda Trumpa**. Z powodu słabnięcia Ameryki i wyrastania nowych ośrodków potęgi okazało się, że dzisiejszy Zachód nie jest już tym podmiotem, który przewodził kiedyś w systemie międzynarodowym. Obecnie musi się on liczyć z „wielkim przebudzeniem” ludów w skali globalnej, które demonstrują zdecydowany sprzeciw wobec zachodnich ambicji panowania.

Stany Zjednoczone jako najsilniejsze z mocarstw są jednak gotowe bezwzględnie i bezpardonowo sprzeciwiać się utracie swoich ról – wpływów, kontroli, interwencji – stąd stawiają na konfrontacyjne i militarne utrzymanie swojego stanu posiadania. Każdy, kto opowiada się po stronie USA, jest zobowiązany do „solidarnego” zaangażowania w konflikty wywoływane przez Waszyngton. Każdy, kto się temu sprzeciwia, jest wrogiem Ameryki i Zachodu. W Polsce nikt nie odważy się zauważyć, że „koniec Zachodu” w znaczeniu narzucania innym swoich wartości, bez ich afirmacji i akceptacji, prowadzi do wzrastającej agresywności ośrodków je propagujących. Ci, których nie udało się podporządkować, a raczej skolonizować, stają się wrogami Zachodu.

Powyższa konstatacja kieruje uwagę obserwatora z jednej strony na czynnik psychologiczny, a z drugiej – na naturę współczesnego kapitalizmu. **Stanom Zjednoczonym, a w istocie ich maszynie propagandowej, udało się zdefiniować w taki sposób ich „dylemat bezpieczeństwa”, że wszelkim napięciom i nieszczęściom winni są zawsze inni, obcy.** Najsilniejsze mocarstwo świata zagrożenia dla pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego lokuje w polityce innych ośrodków siły, a nie u siebie. To, że wydatki obronne USA wynoszą tyle, ile suma

budżetów obronnych kolejnych siedmiu państw (SIPRI Military Expenditure Database, 2019, www.sipri.org), pokazuje absurdalność sytuacji. Manipulowanie strachem, wynikającym z tzw. pułapki Tukidydesa, stało się specjalnością amerykańskich strategów, którzy swoją agresywność tłumaczą wzrostem potęgi Chin i nową wielobiegunowością.

Dla maskowania prawdziwej natury globalnego kapitalizmu, podporządkowującego sobie coraz większe połacie planety, ukuto w USA fałszywą tezę o rywalizacji między państwami demokratycznymi a autorytarnymi. Tymczasem tak autorytaryzm, jak i liberalna demokracja są jedynie przykrywkami realizacji interesów prywatnego kapitału i jego klienteli. Są dwiema stronami tego samego procesu – utrzymania i powiększania bogactwa oraz wyzysku większości przez zdecydowaną mniejszość. Bez zrozumienia istoty symbiozy państw z międzynarodowymi korporacjami trudno zrozumieć wiele zjawisk, które niepokoją ludzi – od wojny na Ukrainie poczynając, na eksploatacji bogactw afrykańskich kończąc. W Polsce ten temat w dyskursie publicznym zajmuje miejsce marginalne (**Grzegorz Kołodko, Tadeusz Klementewicz**).

Nie jest żadnym odkryciem, że stosunki międzynarodowe są konsekwencją poliarchii, której właściwa jest konkurencja, rywalizacja, walka, konflikt i wojna. Drugą stroną tego samego medalu jest skłonność do kompromisu, współpracy, integracji i współdziałania. To, które tendencje w danym okresie biorą górę, zależy m. in. od wzajemnego postrzegania, od woli politycznej, rozwagi i roztropności decydentów, ale także od obiektywnie przejawiających się sprzeczności interesów. Stratedzy amerykańscy lubią jednak podkreślać, że ostateczna forma przejawiania się władzy w poliarchicznym systemie międzynarodowym pochodzi od największych potęg, wykorzystujących siłę (przemoc) jako środek represji, nacisku i przymusu.

Polskie rządy...

od początku lat dziewięćdziesiątych ub. wieku bardzo łatwo pogodziły się z przypisaną Polsce przez kolektywny Zachód rolą lidera konfrontacji z Rosją oraz państwem frontowym na wschodniej flance Sojuszu Północnoatlantyckiego. Wojna na Ukrainie okazała się ważnym katalizatorem takiej identyfikacji. Dla ogłupionych propagandą i amerykańską indoktrynacją rządów i społeczeństw Europy Środkowej pokój pozimnowojenny nie stał się wartością oczywistą i trwałą. Zaczęły one ulegać prowojennej propagandzie, a nawet militarystycznej mobilizacji, aby zwierać szeregi przeciwko Rosji.

Tyle, że w strategii amerykańskiej chodzi raczej o udaremnianie (the strategy of denial) rosyjskiego ataku na któregokolwiek z sojuszników w ramach NATO, a nie wszczynanie wielkich awantur, czy prowokowanie Rosji do dalszych ataków. Wydaje się, że sternicy polskiej polityki bezpieczeństwa nie odróżniają tej mimo wszystko „defensywnej” strategii od aktywnego „wypierania” Rosji poza określone przez nią „czerwone linie”, decydujące o pojmowaniu przez nią jej żywotnych interesów.

Nie ma powodów przedstawiać w tym miejscu wszystkich uwarunkowań skonfliktowania Zachodu z Rosją, gdyż powstała już na ten temat ogromna literatura (zob. np. **Kees Van Der Pijl**, *Tragedia Ukrainy. Od malezyjskiego boeinga do wojny*, Wrocław 2023). Opinie polityczne i naukowe zostały zdominowane przez tezę, że to Rosja jednostronnie zerwała więzi Zachodem, odrzucając wszystkie jego wartości. Gdy w Stanach Zjednoczonych nieliczni zauważają, że pozimnowojenny triumfalizm Zachodu i ekspansja w przestrzeni poradzieckiej musiały doprowadzić do radykalnego sprzeciwu Rosji, rodzą się wokół nich podejrzenia, że sprzyjają Rosji (zob. np. reakcje na wystąpienia: **Barry Posen**, **Jeffreya Sachsa**, **Stephena Walta** i in.). Ta choroba dyfamacji i „połowania na czarownice”

objęła niemal cały świat kolektywnego Zachodu. Wśród polityków jaskrawymi odszczepieńcami stali się **Viktor Orban**, a ostatnio **Robert Fico**, co wywołuje w kręgach polityków zachodnich głęboką konfuzję.

Powodowane resentymentem, polskie elity i kręgi opiniotwórcze nigdy nie podjęły wysiłku na rzecz zredefiniowania miejsca nowej Rosji (tej niekomunistycznej) w polskiej strategii bezpieczeństwa. Kierując się antysowieckim i antyrosyjskim atawizmem, zrezygnowano z jakichkolwiek rozwiązań pośrednich – neutralnego sąsiedztwa czy nieszkodzenia sobie nawzajem. Powściągliwość i roztropność zniknęły całkowicie z arsenału środków dyplomatycznych, które podporządkowano ślepej subordynacji amerykańskiej protekcji.

Opierając się na dziedzictwie zimnowojennym polscy decydenci są święcie przekonani, że hegemonia USA w systemie międzynarodowym jest wieczna i nienaruszalna. A myślenie o trwałym i niepodważalnym sojuszu z USA jest w Polsce mocno zmitologizowane. Nie ma przecież oparcia w żadnym bilateralnym układzie ani ujęcia w jakiegokolwiek strategii USA. Mit ten jest wykorzystywany przez kolejne ekipy rządzące jako sposób interpretowania rzeczywistości – bardziej wyobrażonej i pożądanej niż istniejącej.

Tymczasem na naszych oczach dokonuje się demontaż starego układu sił. W samych Stanach Zjednoczonych dochodzi do głębokich przewartościowań kosztów i skali ich zaangażowania w coraz bardziej niechętnym im świecie. Trwające spory w establishmencie politycznym USA pokazują, że Amerykanie z trudem godzą globalne aspiracje i zobowiązania z możliwościami i chęciami ich realizacji.

Zaślepienie atlantyzmem...

spowodowało, że w Polsce nie dostrzega się żadnych negatywnych stron przynależności do podporządkowanego Ameryce Sojuszu Północnoatlantyckiego. Od dawna wiadomo, że oprócz zalet

kolektywnej obrony sojusze łączą się z ryzykiem uwikłania w niepotrzebne lub zbyt kosztowne wojny. Solidarność sojusznicza ze Stanami Zjednoczonymi, w czasie ich niechlubnych interwencji w Iraku czy Afganistanie, okazała się nikomu niepotrzebna i dla polskiego interesu narodowego szkodliwa. **Poza kosztami osobowymi i materialnymi Polska niczego nie zyskała.** Obecnie nieprawdopodobnie wysokie koszty zaangażowania w pomoc Ukrainie także nie idą w parze z korzyściami, ani w płaszczyźnie wizerunkowej, ani w konkretnych kompensatach. Przeciwnie, pochodne tego konfliktu, choćby w postaci kryzysu zbożowego, ukazują słabość rzeczywistych podstaw dialogu i brak woli politycznej po obu stronach w poszukiwaniu kompromisów, tak w sferze symbolicznej, jak i wymiernej.

Istnieją poważne obawy, że polska strona, w celu naprawy relacji z władzami ukraińskimi po rządach Prawa i Sprawiedliwości, znów poświęci kolejne wartości i interesy, w imię poprawy swojego wizerunku w oczach Waszyngtonu i Brukseli. Tymczasem potrzebna jest analiza wojny na Ukrainie w kontekście strategii amerykańskiej. Wiele wskazuje na to, że ważniejszym teatrem działań przeciwważących potęgę Chin jest Azja, a także Bliski i Środkowy Wschód. Dopiero na trzecim miejscu znajduje się w rachubach USA groźba ataku rosyjskiego na europejskich sojuszników. Ich dozbrajanie i konsolidacja mogą na długie lata zapobiegać realizacji ambicji rosyjskich przywrócenia panowania w przestrzeni wschodnioeuropejskiej. Strategia ta zmusi jednak państwa europejskie do postawienia na większą samowystarczalność i ogromne koszty.

W kontekście zmiennej geometrii globalnej dystrybucji sił oraz dramatycznych skutków wojny na Ukrainie Polska potrzebuje nowego spojrzenia na rolę Rosji w najbliższym sąsiedztwie, jak i w szerszej skali międzynarodowej. Przede wszystkim warto ocenić, na ile z powodu zachodnich sankcji i wykluczenia z różnych gremiów międzynarodowych zmniejszyła się asertywność Rosji i jej determinacja w obronie interesów narodowych.

Wszystko wskazuje na to, że nieustępliwość Rosji raczej uległa zwiększeniu, a skuteczność i sprawczość w działaniach na różnych azymutach wcale nie jest słabsza. Owszem, nastąpiło przetasowanie w dotychczasowych preferencjach, ale bilans obrotów międzynarodowych Rosji, jak i kondycja wewnętrzna nie uległy oczekiwanemu załamaniu. Nie zmniejszył się też zasięg przestrzenny rosyjskich oddziaływań.

Zaczadzenie rusofobią

Najważniejszym wrogiem rzetelnych diagnoz i analiz jest tendencja do ogromnych uproszczeń w postrzeganiu współczesnej Rosji i zaczadzenie rusofobią. Na Zachodzie wskazuje się jednak – w nurcie realistycznym – na zasoby Rosji, które pozwalają jej skutecznie realizować swoje cele geopolityczne w dłuższym przedziale czasu. Nawet gdy pojawiają się poglądy o pogrążaniu się Rosji w kryzysie, jak to się dzieje w kontekście wojny na Ukrainie, to i tak Rosjanie zachowują liczne przewagi, które pozwalają im osiągać swoje cele (zaopatrzeniowe, demograficzne, transportowe, technologiczne i in.). Zdarza się i tak, co nie jest nowością, że nawet słabość Rosji jest jej atutem w grze międzymocarstwowej. Im więcej bowiem ten nuklearny kolos ma kłopotów, tym bardziej jest skłonny do podejmowania ryzykownych zachowań, z którymi trzeba się liczyć.

Szkoła realizmu strukturalnego (ofensywnego), której najwybitniejszym przedstawicielem jest chicagowski profesor **John Mearsheimer** nie bez powodu była atakowana od czasu „pomarańczowej” rewolucji na Ukrainie, gdyż odsłaniała rzeczywiste ekspansywne intencje i motywy działania wielkich potęg – zarówno Rosji, jak i Zachodu. Gdy doszło do starcia między nimi, a ofiarą stała się Ukraina, Polska jednoznacznie opowiedziała się przeciwko Rosji. Nie wchodząc w ocenę sensu wzmożenia emocjonalnego, stanowisko to zyskało gremialne poparcie polityczne. Szlachetne oburzenia nie szły jednak w parze z jakąkolwiek trzeźwą analizą ani tym bardziej

predykcją co do możliwych wariantów rozwoju sytuacji. Spodziewano się bowiem na sto procent nie tylko osłabienia Rosji, ale i jej pokonania, co w strategii Zachodu oznaczało poddanie jej hegemonicznej kontroli i ekspansji kapitałowej. Jest to odwieczne marzenie elit amerykańskich i niemieckich, którym śnią się w kolejnych generacjach niezmiernie zasoby i przestrzeń do zagospodarowania i wyzysku. Przy okazji takie państwa jak Polska, czy republiki bałtyckie chciałyby powetować sobie historyczne upokorzenia i krzywdy.

W kontekście otwarcia przed USA nowych frontów wojennych na Bliskim Wschodzie i konieczności zachowania gotowości bojowej wobec Chin, ewentualne zwycięstwo Rosji w wojnie na Ukrainie postawi przed Sojuszem Północnoatlantyckim nie tylko pytanie o jego wiarygodność obronną, ale i o stabilność amerykańskiego przywództwa. Nie od dzisiaj bowiem wiadomo, że w USA co i raz pojawiają się pytania o racjonalną zasadność dalszej obecności ich sił zbrojnych na Starym Kontynencie. Czy w takiej sytuacji państwa Europy Środkowej, w tym Polska, nie „wylądują” poza kręgiem bezpośredniej odpowiedzialności USA za ich bezpieczeństwo? Mogą znaleźć się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, choćby z tego powodu, że zadaniem Ameryki nie jest generalnie „pilnowanie” pokoju, ale wkraczanie zbrojne z pomocą dopiero po napaści na któregoś z sojuszników. *Casus foederis* Traktatu waszyngtońskiego w art. 5 dokładnie tak definiuje ten przypadek.

Świadomi takich zagrożeń słabi członkowie sojuszu z tym większą gorliwością mogą zabiegać o zaangażowanie USA, nie tylko poprzez lokowanie coraz większej liczby żołnierzy amerykańskich na swoich terytoriach, ale nawet proszenie o „przyjacielskie” dzielenie się bronią jądrową. Z doświadczenia wiadomo, że broń jądrowa spełnia skutecznie funkcje odstraszające, jeśli jej dysponenci działają w granicach logiki i rozsądku. Jeśli stawką ryzyka jest wzajemna zagłada, nie warto do niej sięgać. Co jednak byłoby, gdyby państwa nieprzywykłe do takiej odpowiedzialności zastosowały broń

jądrową z chęci „odegrania się” na silniejszym mocarstwie, nawet za cenę totalnej zagłady? Wydaje się, że przy ogromnej nieprzewidywalności rządów Europy Środkowej takie rozwiązania nie znajdą zwolenników na Zachodzie.

A co po wojnie?

Rosja wyjdzie niewątpliwie obolała z toczącej się wojny na Ukrainie, ale jeśli zyska akceptację swojego zwycięstwa przez Zachód w postaci jakiegoś *modus vivendi* – czego w Polsce na razie nie bierze się pod uwagę, tak jak wielu innych kompromisowych rozwiązań – to Stany Zjednoczone, a za nimi reszta Zachodu uznają ją za niegroźną z punktu widzenia pretensji do zdominowania kontynentu europejskiego. Wówczas przynajmniej na jakiś czas może dojść do „poluzowania” więzi atlantyckich, ze względu na wzrost znaczenia aspiracji Chin do zdominowania Azji i Pacyfiku. USA będą kierować się wyłącznie swoim interesem, jeśli przyjdzie im bronić dotychczasowej hegemonii w Azji. Ze strategii USA wyraźnie wynika, że priorytet ma skuteczna obrona Tajwanu czy innych sojuszników azjatyckich przed „jakimikolwiek działaniami w obronie wschodniej flanki NATO”. Odkrywa te założenia bez żadnego kamuflażu jeden z amerykańskich ekspertów, a za kadencji Trumpa asystent sekretarza obrony, który pracował nad strategią i rozwojem sił zbrojnych. Należy mniemać, że po ewentualnym powrocie republikanów do Białego Domu USA mogą zgodnie z jego przewidywaniami doprowadzić do radykalnego „odwrócenia” sojuszy (Elbridge A. Colby, *Strategia wypierania. Amerykańska obrona w dobie konfliktu mocarstw*, Warszawa 2023).

Nawet gdyby determinacja Stanów Zjednoczonych pozostała niezmienna w obronie państw środkowoeuropejskich przed agresją rosyjską, to zawsze trzeba mieć na uwadze nieproporcjonalność kosztów stawki, o którą toczy się gra. Jeśli bowiem Rosja zostałaby zmuszona do użycia broni jądrowej, znajdując się na pozycjach przegranych w starciu konwencjonalnym z NATO, to USA chcąc uniknąć eskalacji wojny

totalnej, zapewne wycofałyby się z konfrontacji, ratując swój stan posiadania (America First!).

Powyższe rozważania kierują uwagę obserwatorów w stronę przebudowy doktryn bezpieczeństwa państw członkowskich NATO i samej Rosji. Środki „twardej siły” pokazują, że nowoczesne wojny niosą nieobliczalne konsekwencje dla każdej ze stron – napastnika i ofiary. Warto zatem dla przeciwwagi sięgnąć do sprawdzonych form dialogu i kompromisu. Wzajemna atrakcyjność i siła przyciągania – mimo okresowego impasu – może zostać przywrócona. W USA nie brakuje kalkulacji, że za cenę pewnych ustępstw i zresetowania stosunków wzajemnych Zachód znacznie by zyskał, mając Rosję po stronie „koalicji antyhegemonicznej” wobec Chin. **Przywrócenie umiaru i zrównoważenia relacji rosyjsko-amerykańskich i rosyjsko-natowskich (niezależnie od poświęcenia losu Ukrainy) byłoby „dobrodziejstwem” dla strategii USA w Azji.** Byłoby to też jedno z kolejnych zwycięstw realizmu politycznego w stosunkach międzynarodowych.

Jeśli stratedzy amerykańscy uznają, że zaangażowanie w wojnę na Ukrainie, która z ich punktu widzenia zaczyna mieć charakter „peryferyjny”, jest zbyt kosztowne, bo drenuje amerykańską siłę i wolę, wyczerpuje cierpliwość opinii publicznej i sprzyja narastaniu napięć w innych miejscach globu (choćby na Bliskim Wschodzie), to zdecydują, że „korzyści nie są warte kosztów i ryzyka w takich okolicznościach” (E.A. Colby, s. 420).

W świetle powyższych rozważań, warto zauważyć, że polscy politycy nie ujawniają żadnych przypuszczeń (tak, jakby ich to w ogóle nie obchodziło), iż Stany Zjednoczone najbardziej obawiają się chińskiej hegemonii w Azji, która wraz z nieprzychylną im tzw. resztą świata mogłaby zagrozić mocarstwowej pozycji gospodarczej poprzez wykluczenie ich z globalnego handlu i ograniczenie dostępu do bogatych regionów. To w sumie otwierałoby drogę do bezpośredniej presji, zagrażającej wolności i dobrobytowi Ameryki.

Znając cynizm i wyrachowanie Anglosasów, nie należy się spodziewać, że w razie własnych problemów, będą oni gotowi poświęcać swoje siły dla partnerów czy nawet sojuszników. Dlatego Polska musi być przygotowana na każdą ewentualność, aby uniknąć niepotrzebnych porażek i rozczarowań. Nie znając ostatecznych wyników przewartościowań amerykańskiej strategii bezpieczeństwa, należy poszukiwać rozwiązań komplementarnych. Przede wszystkim realizacja postulatu „zero problemów z sąsiadami” otworzy drogę do większej pewności regionalnej i pozbycia się strachu, napędzającego coraz bardziej irracjonalną rusofobię, a za rządów PiS także germanofobię.

[Prof. Stanisław Bielen](#)